

Dręczony ciągłymi koszmarami, w końcu przyjechałem tu. Nie wiem czemu miałoby mi to pomóc, ale postanowiłem zaufać swojemu terapeutce. Patrzyłem teraz na spalone ruiny i wcale nie czułem się lepiej. Ściany budynku dalej były czarne. Dach jak się zawalił, tak go nie ma. Przez okna, w których brakowało szyb, widać było, że w środku rosły jakieś ziołka i krzaki. Budynek zaś otaczało całe morze pokrzyw. Niektóre chaszcze były nawet wyższe ode mnie.

I tak nie miałem zamiaru tam wchodzić.

– Coś panu trzeba?

Z głębokiej zadumy wyrwał mnie czyjś głos i powiew wiatru. A może wiatr wiał cały czas tak samo, tylko nie zauważyłem go, tak samo jak zbliżającego się do mnie mężczyzny.

– Nie. Nic – odpowiedziałem, nawet się nie odwracając w jego stronę.

On jednak zamiast zgodnie z moim życzeniem odejść, stał cały czas. I milczał. Odwróciłem się rozdrażniony, żeby spytać, czy jemu przypadkiem czegoś nie trzeba.

– O bogi. Toż to młody Prokopowicz. Dobrze mówię?

Obadałem wzrokiem starszego, niskiego, okrągłego mężczyznę, o równie okrągłym i czerwonym nosie. Nie pamiętałem go, lecz akordeon, który trzymał, budził jakieś wspomnienia.

– Przepraszam, ale nie pamiętam pana.

– Nie szkodzi. Ile to już minęło? Dwa lata?

– Dziesięć.

– No popatrz, jak ten czas leci. Witaj w domu.

Jeszcze raz spojrzałem na ruinę. Dom.

Dziwny staruszek zaprosił mnie do siebie. Tam odświeżyłem sobie pamięć i przypomniałem pana Fedorczuka, który pędził najlepszy bimber i każdego ranka budził całą wieś swoją grą na akordeonie.

– Nu, to opowiadaj chłopcze, co porabiałeś przez ostatnie lata – powiedział serdecznie, nalewając do szklanek bimber o złotym kolorze. – Nazwałem go „Złoty środek” bo jest dobry na wszystko. Właściwie to – zadumał się na chwilę – każdy bimber jest dobry na wszystko, ale ten ma najbardziej złoty kolor.

Rozgrzany „Złotym środkiem” opowiedziałem w skrócie jak skończyłem polonistykę, pracowałem trochę to tu, to tam, raz prawie się ożeniłem. Nic ciekawego. Życiorys zwykłego Kowalskiego. Nie mówiłem nic o koszmarach związanych z domem i...

– ... i teraz przyjechałem tu. Choć sam nie wiem po co.

– Ja wiem.

Otworzyłem szeroko oczy.

– Bo ta ziemia cię wzywa. Ona cię zrodziła i do niej musisz wrócić. Nie znajdziesz swojego miejsca w betonowej dżungli.

Westchnąłem. Nie wiem czego innego mogłem się spodziewać. Jakie prawdy mogłem usłyszeć od starego pijaka. To co usłyszałem brzmiało tylko jak pierdoły.

– Zostań tutaj parę dni. Przemyślisz sobie to i owo.

– Ale gdzie...

– Jak to gdzie? Jesteś moim gościem i będziesz mieszkał u mnie.

Nie protestowałem. Nie protestowałem również przeciw wypiciu jeszcze kilku głębszych i przeniesieniu się na ganek, gdzie pan Fedorczuk oddał się grze na akordeonie i śpiewaniu białoruskich pieśni, a ja patrzyłem na złote i czerwone liście tańczące na wietrze.

Krwiście czerwony liść wylądował na moim kolanie, przypominając mi o czymś.

– Chciałbym się przejść do lasu.

– Jakiego lasu? – spytał pan Fedorczuk nie przerywając gry.

- Tego, który jest naprzeciwko... mojego domu.
- Dobra, chodźmy! – Fedorczuk zerwał się z wielką energią, jakby wcześniej nie wypił pół litra mocnego bimbrowu.
- Droga brukowana kocimi łbami była całkowicie zasypana liśćmi. Wieś zaś zdawała się być pogrążona we śnie. Hulał jedynie wiatr.
- Gdzie są wszyscy? – spytałem zaintrygowany wszechogarniającą ciszą.
- Dzisiaj niedziela przecież. Połowa pojechała do kościoła, a połowa do cerkwi.
- A pan czemu nie pojechał?
- Ja jestem tutaj z tobą. Pytanie brzmi: co ty tutaj robisz, chłopcze?
- Nie odpowiedziałem. Nie znałem odpowiedzi na to pytanie.
- Czemu chcesz iść do tego lasu? – Bimbrownik przerwał przedłużającą się ciszę.
- Lubilem tam się bawić za gówniarza – i ostatnio ciągle mam koszmary związane z tym miejscem, dodałem w myślach. – Ciekawi mnie, czy coś tam się zmieniło.
- Z daleka zobaczyłem, że coś jest nie tak. Zamiast ściany lasu, widać było tylko pojedyncze drzewa. Nic nie mówiłem. Z każdym krokiem czułem rosnący niepokój. Przeszliśmy przez pole i teraz mogłem zobaczyć całość.
- Po wiekowych drzewach zostały tylko pnie. Ziemia zaś była zavalona gałęziami, korą i śmieciami. Lubilem to miejsce, ale nie sądziłem, że będę czuł fizyczny ból z powodu takiego widoku.
- Co to jest? – spytałem ze ściśniętym gardłem, wskazując ręką wszystko dookoła. – Co to jest? – spytałem pokazując na puste butelki, opakowania po papierosach i zupkach chińskich.
- To? To jest postęp. To jest cywilizacja.

- ...no i kiedy stary Maksymowicz wyciągnął nogi, to wszystko przejął jego syn, który to zaraz zaczął wyprzedawać wszystko – ciągnął Fedorczuk nakładając na talerze borowiki smażone z cebulą i ziemniakami. – Podpisał umowę z jakąś niemiecką firmą, co by las miała wyciąć sobie. A potem pewnie i ziemię sprzedawać będzie. No, wypijmy. Co by ich szlag trafił.
- Szklanki poszły w górę. Bimber uderzał do głowy, kolacja smakowała, piec grzał mocno, a myszy skrobały w ścianie. Byłby miły wieczór, gdyby nie to, że czułem się bardzo zmęczony.
- I tak to już jest – rzekł z zadumą pan Fedorczuk, wyciągając się wygodnie w bujanym fotelu. – Starzy umierają, młodzi wyjeżdżają na studia i już nie wracają. A ci co zostali wyprzedają ojcowiznę, żeby też w końcu stąd wyjechać.
- Ja też wyjechałem. I wkrótce po tym, stało się to wszystko i już nie miałem dokąd wracać.
- Szkoły pokończył, a taki głupi. Tu zawsze będzie twój dom i zawsze mogłeś tu wrócić. Dostałeś na pewno sporo pieniędzy z ubezpieczenia. Rodziców byś nie wskrzesił, ale dom mogłeś odbudować. Dobrzy ludzie by ci pomogli. Zresztą – stary machnął ręką – dom to nie tylko budynek. Dom to też ziemia.
- I rodzina.
- A no...

Później zapadłem w nerwowy i przerywany sen. Co kilkanaście minut budziłem się zlany potem, mglście pamiętając wcześniejsze dziwne sny. Kiedy w końcu zasnąłem porządnie, śniło mi się, że byłem na ganku mego dawnego domu. Wokół zebrało się sporo różnych istot. Były tu cienie o wszelakich kształtach oraz istoty podobne do ludzi, o skórze wyglądającej jak kora drzewna. Był tu dzik, wilk, zając, lis i inne zwierzęta. Z krzaków świeciły na mnie czyjeś czerwone oczy. Później pojawiła się kobieta. Choć widać było, że młodość miała już za sobą, posiadała szczególną urodę. Musiała być naprawdę piękna za młodu. Teraz włosy straciły swój kolor, na twarzy pojawiły się zmarszczki, a w oczach zgasł ogień. Wyciągnęła do mnie rękę, jakby chciała mnie gdzieś zaprowadzić. Ale ja tego nie chciałem. Pokręciłem głową. Cof-

nałem się. Obudziłem się.

O dziwo, obudziłem się nie tradycyjnie oblany potem, ale całkowicie przemarznięty. Tylko liście oddzielały mnie od kamieni, którymi był wyłożony ganek. Ganek mojego domu.

Czułem się jak na najgorszym kacu. Zły na cały świat, przedarłem się przez zarośla i wyszedłem na drogę. Idąc do domu pana Fedorczuka, cały czas wycierałem rękawem gluty ciekące z nosa.

Bimbrownika nie było, więc sam zrobiłem sobie herbatę, ogrzałem się, łyknąłem bimbru. Na jedzenie nie miałem ochoty. Nie miałem również co z sobą zrobić, więc wyszedłem na spacer. Minąłem wielki krzyż oraz ciekawskie oczy mieszkańców i wyszedłem poza wieś. Zamiast pójść asfaltem, skręciłem w lewo i poszedłem przedwojenną polną drogą, dawniej jedyną drogą do osady. Otaczały ją jedynie pola i młode, brzozowe laski. Między drogą, a takim laskiem stała stara kapliczka. A przy niej stał stary Fedorczuk.

– Nie sądziłem, że jest pan taki religijny.

– Ach. To tylko taki tam sentyment – uśmiechnął się pokazując żółte zęby. – Podejdź tu chłopcze. Widzisz ten kamień, w który wbity jest krzyż? – położył mi rękę na ramieniu. – Przyjrzyj mu się.

Nie byłem do końca pewien, ale wydawało mi się, że ten kamień ma ludzkie kształty. Czas jednak stał z niego rysy twarzy.

– To był jakiś posąg?

– Tak. Był. Ale zamiast go odnowić lepiej było wbić jej w głowę metalowy krzyż i postawić płotek.

– Jej? – Choć starałem się zabrzmieć naturalnie, nie wyszło mi to. Wciąż miałem w głowie ten dziwny sen.

Fedorczuk tylko machnął ręką i poszliśmy.

Nie lubię być w centrum uwagi, ale tak się właśnie stało, gdy wróciliśmy do wsi. Ludzie, którzy wcześniej jedynie ciekawsko patrzyli w moją stronę, teraz wiedząc już kim jestem, zagadywali mnie.

– Będziesz wracał na stałe?

– Byłam twoją sąsiadką, pamiętasz?

– Wielka to była dla nas tragedia. Twój rodzice to byli tacy porządni ludzie.

– Ale wyrosłeś na przystojnego mężczyznę!

Starałem się rozmawiać, uśmiechać, ale widocznie kiepski ze mnie aktor, bo wyglądało to bardzo sztucznie. Chciałem jak najszybciej stamtąd uciec. Pan Fedorczuk to zauważył, więc poszliśmy do jego domu.

Tam wziąłem plecak i spytałem, o której będzie najbliższy autobus.

Myślałem, że będzie mnie zatrzymywał, przekonywał żebym został. On jednak spojrzał mi głęboko w oczy. Jego oczy zaś zmieniły się w ciągu sekundy. Pijacki, zamglony wzrok, zmienił się na trzeźwy i inteligentny.

– O 11.50.

Jego głos również się zmienił. Zaraz jednak wrócił do dawnej postaci.

– To może ja by cię podprowadził, a?

– Nie, nie trzeba.

– No to chociaż wypijmy na pożegnanie.

Przytaknąłem. Wypiłem. Pożegnałem się.

Idąc, chwilowo zatrzymałem się przy kapliczce. Patrzyłem to na nią, to na dziewczynkę na kulach, która przy niej stała. Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła się od ucha do ucha. Również odpowiedziałem jej uśmiechem, choć mój był raczej smutny. Wiedziałem, że Bóg jej nie pomoże, nie ważne do którego by się modliła. Ten chrześcijański nie chce, a ten pogański z krzyżem wbitym w głowę raczej niewiele mógł zrobić.

Prawie godzinę czekałem na autobus. W końcu jednak przyjechał. Usiadłem przy oknie, patrząc na krajobraz. Byłem pewien, że widzę go ostatni raz.

Wtem autobus zakaszlał jak stary palacz i stanął. Kierowca próbując zapalić go ponownie, przeklinał ni to po polsku, ni to po białorusku, a następnie wyszedł. Obszedł autobus dookoła, po czym wszedł i oznaj-

mił, że autobus pizdanulsja i nichuja nie ruszy.

Nie wiedziałem czy westchnąć, czy rąbnąć pięścią w okno. Wyszedłem z autobusu i wróciłem na przystanek, żeby sprawdzić, o której będzie następny. Kiedy okazało się, że dopiero jutro, postanowiłem złapać stopa. Nic jednak nie jechało.

Przypadkiem dostrzegłem kwiat. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego. Trochę podobny do maku, a trochę do róży.

Podszedłem do niego. Powąchałem. Straciłem przytomność.

Czyjś głos mówił do mnie czule. Mówił do mnie po imieniu. Głos, którego nie słyszałem od lat. Głos, którego brzmienie już zapomniałem.

Otworzyłem oczy. Leżałem na kanapie, a duży pokój wcale nie był spalony, nie było tu żadnego gruzu, żadnych krzaków. Wyglądał tak jak go pamiętałem. Usiadłem i spojrzałem na ojca, który sklejał model samolotu. Spojrzałem na matkę, która właśnie przerwała czytanie romansideł.

– Obudziłeś się w końcu.

– Mamo, ja nic nie rozumiem. Gdzie ja jestem?

– Jak to gdzie? Jesteś w domu.

– Ale przecież wy nie żyjecie! – wybuchłem.

– Nie musisz nam tego mówić. Bardzo dobrze o tym wiemy – powiedział spokojnie ojciec, nie przerywając swojego zajęcia.

– Musisz już iść.

– Gdzie, mamo? Przecież dopiero...

– Twoja prawdziwa matka czeka.

– Jak to prawdziwa matka?!

– Dała nam ciebie na wychowanie. Miałaś do niej wrócić, kiedy będziesz dorosły. Ale ty poszedłeś na studia. Myślała, że już tu nie wrócisz. Zemściła się na nas. Ale ty nie złość się na nią. Ja na jej miejscu zrobiłabym to samo. Idź już i nie oglądaj się.

– Już nigdy więcej się nie zobaczymy?

Nie odpowiedziała mi.

Wstałem i ze ściśniętym sercem podszedłem do drzwi. Nie mogłem jednak się powstrzymać. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na nich ostatni raz. Ale ich już nie było. W pokoju zrobiło się ciemno. Przez okna pozbawione szyb, wleciał chłodny wiatr.

Wyszedłem na zewnątrz. Ona znowu czekała tam na mnie, wraz z orszakiem dziwnych stworzeń. Wyciągnęła dłoń w moją stronę. Poszedłem z nią do lasu, a jej poddani szli za nami.

– Kim jesteś?

– Ludzie nadawali mi różne imiona. – Jej głos był melodyjny i miękki jak aksamit. – Moje prawdziwe imię możesz poznać, jeśli wsłuchasz się w śpiew ptaków, padający deszcz i szum wiatru.

– Dlaczego mnie oddałaś?

– Ja... Nie rozumiem już ludzi. Chciałam żebyś ty ich zrozumiał, a potem zajął moje miejsce.

– Zajął twoje miejsce?

– Dawniej żyliśmy razem z ludźmi. Teraz wszyscy powoli odchodzimy. Leszy nie będzie żył w wyciętym lesie. Wodnik nie będzie żył w jeziorze pełnym śmieci i toksyn. Musimy znowu znaleźć wspólny język. I to jest twoje zadanie.

– A co z tobą?

– Ja jestem już stara. Nawet nie wiesz jak bardzo... Odchodzę tam, gdzie odchodzą bogowie, gdy są już zmęczeni życiem. Teraz nadszedł twój czas.

Chciałbym jeszcze spytać ją o wiele rzeczy, lecz zniknęła. A jej poddani uklękli przede mną.

Gdy widziałem je wcześniej, myślałem, że są to istoty z jakiegoś innego świata. Teraz wiem, że wszyscy razem zamieszkujemy ten sam świat. Wśród nich ujrzałem też pana Fedorcuka.

– Pan tutaj? Pan o wszystkim wiedział?

– Gdy wysuszyli mój staw, mogłem albo odejść w niebyt, albo się zasymilować. Wybrałem to drugie i już od stu lat żyję wśród ludzi.

– Wcześniej żył pan w wodzie, a teraz podtrzymuje pana woda ognista?

– Dokładnie tak – zaśmiał się serdecznie, a ja wraz z nim.

Jak na jesień, dzień był bardzo ciepły i słoneczny. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Wszedłem na podwórze i zapukałem do drzwi. Po chwili otworzyła mi niemłoda kobieta z chustą na głowie.

– A witam, witam. W czym mogę pomóc?

– Ja tylko na chwilę – rzekłem i wszedłem nie czekając na zaproszenie.

Kobieta była trochę zdezorientowana, ale nie zwracałem na nią uwagi. Obszedłem wszystkie pokoje. Znalazłem dziewczynkę, leżącą na kanapie przed telewizorem. Uklęknąłem przy łóżku i dotknąłem jej nogi.

– Wstań – powiedziałem, ignorując to, że jej matka zaczęła się denerwować.

Dziewczynka bardzo się zdziwiła, ale jak to dziecko, wierzyła dorosłym. Wstała. Zrobiła kilka kroków. Później zaczęła skakać, a jej matka zalała się łzami.

Zostawiłem je same i odwiedziłem młodego Maksymowicza. Nażelowany facet w białym dresie majstrował coś przy samochodzie.

– Nie wycinaj więcej tego lasu. Już wystarczy. I nie wyprzedawaj ojcowizny. Dbaj o to, o co on dbał z takim trudem.

– Co kurwa? Kim ty właściwie jesteś. Wypierdalaj stąd albo psami poszczuję, albo... – wziął do ręki klucz francuski i pogroził mi. Wyszedłem bez słowa.

Dwa dni później to on przyszedł do mnie. Oczy miał czerwone, a ręce mu się trzęsły.

– Dobrze! Zrobię to! Będę dbał o to, co zostawił mi ojciec. Zostawię las w spokoju! Czy teraz skończą się koszmary? Czy będę mógł wreszcie zasnąć?

– Tak. Dotrzymaj słowa, a i ja go dotrzymam.

W następnych dniach zaczęli przyjeżdżać do mnie ludzie. Wieść o uleczonej dziewczynce rozeszła się bardzo szybko. Przychodzili zarówno ludzie z ciężkimi chorobami i kalectwami jak i z głupotami. Na przykład jeden staruszek co sobie znalazł młodą żonkę, ale hydraulika mu nie działała tak jak kiedyś. Pomagałem wszystkim.

Ciekawe jest to, że w filmach i literaturze, główna postać zanim zostanie bohaterem, wcześniej musi stracić swoich rodziców. Ktoś mógłby powiedzieć, że ze mną jest podobnie. Ale ja nie jestem Batmanem. Nie jestem Harrym Potterem ani Lukiem Skywalkerem. Ani tym bardziej bogiem. Jestem zwykłym chłopakiem z Podlasia. A to jest mój dom.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

EdwardH, dodano 21.02.2014 19:06

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.